ROK VI.
Nr. 15/16.

Sierpień

Opłata uiszczona ryczałtem.

Cena zł. 1.25

MŁODA MATKA



W ogrodzie.

Kilka słów o wodzie na wsi.

Wobec tego, że w sprawie wody na letnisku pisaliśmy już niejednokrotnie na łamach naszego pisma, ograniczymy się przeto jedynie do kilku praktycznych rad. Woda, tak ważny składnik pożywienia, może niekiedy być źródłem różnych zakażeń (dur brzuszny i inne).

A zatem w czasie pobytu na letnisku pamiętać należy o tem:

1-o. Aby woda do picia, a także i do mycia była bezwzględnie czysta i zdrowa. A zatem woda musi być przezroczysta, bez smaku i zapachu oraz nie może zawierać zarazków chorobotwórczych. Dobra woda może pochodzić z wodociągów będących pod stałą kontrolą, lub dobrze urządzonej studni.

2-o. Studnia z wodą do picia musi być głęboka, ażeby woda pochodziła z głębokich warstw, a nie była wodą zaskórną, która może być łatwo zanieczyszczona przez ścieki. Woda pozornie czysta może również zawierać zarazki chorobotwórcze, szkodliwe tak dla dzieci jak i dorosłych.

3-o. Studnia z wodą do picia najlepiej gdy posiada pompę, a w braku tejże powinna zawierać stale przymocowane wiadro. Pobieranie wody różnemi naczyniami przyniesionemi z różnych miejsc może łatwo spowodować zanieczyszczenie wody.

4-o. Wody podejrzanej co do dobroci nie należy pić bez uprzedniego przegotowania, przefiltrowania lub chlorowania.

Chlorowanie wody nie jest trudne i może być z łatwością stosowane. (Do chlorowania wody najlepiej używać preparatu chloramina Heyden'a obliczając po 10 mlgr. na 1 litr wody). Do przygotowanej beczki, lub innego dużego naczynia o znanej objętości nalewamy wieczorem świeżą wodę, do której dodajemy odpowiednią ilość chloraminy. Po kilku godzinach, a więc po upływie nocy, woda całkowicie nadaje się do użytku. Chlorowanie niszczy wszystkie zarazki chorobotwórcze. Chlorowanie musi być dokonywane codziennie. Woda chlorowana nie traci smaku i nie powoduje objawów chorobowych.

5-o. Pamiętając o tem, że woda jest koniecznie organizmowi potrzebna, zwłaszcza w dni upalne, gdy parowanie ciała jest większe, nie należy dzieciom zabraniać picia tejże. Należy jedynie nie podawać wody w czasie jedzenia lub po owocach (zwłaszcza czereśniach, wiśniach, agreście, porzeczkach), które same przez się posiadają dużo wody, po-

zatem mając zdolność pęcznienia w przewodzie pokarmowym, mogą powodować podrażnienie przewodu pokarmowego i ostre biegunki.

6-o Wodę do picia należy mieć przygotowaną w naczyniu zamkniętem, co utrudnia dostęp muchom. Wodę należy codziennie zmieniać, a naczynie dokładnie myć.

Dr. Z. Glińska.



Prostota w życiu codziennem na letnisku.

Do lata przywiązuje się zwykle dużo nadziei, ma ono poprawić nadwątlone zdrowie zarówno bladych, mizernych dzieci, jako też przywrócić siły osobom dorosłym, które dzieciom towarzyszą.

Nadzieje te mogą ziścić się w stopniu mniejszym lub większym, zależnie od rozmaitych okoliczności, wśród których zła czy dobra pogoda nie ostatnią odgrywa rolę. Najczęściej wracające ze wsi do miasta dzieci są uradowane, roześmiane, z różową, zdrową, opaloną cerą, z zaokrąglonemi pełnemi policzkami, tryskające zdrowiem i życiem. Pobyt kilkutygodniowy na wsi zmienił do niepoznania przezroczystą bladą Maryśkę i Janka chudziaka.

Niekiedy jednak korzyści z pobytu na letnisku są bardzo nikłe. Składają się na to rozmaite niesprzyjające okoliczności, wśród których niemałą rolę odgrywa nastawienie psychiczne, cały szereg naszych nałogów, przyzwyczajeń, błędnych odruchów, zapatrywań, z któremi nie możemy zupełnie rozstać się, jadąc z miasta na wieś.

Życie nasze miejskie jest regulowane według zegarka. Stąd ten ciągły pośpiech, obawa przed opóźnieniem się, to ciągłe sprawdzanie godziny, te ustawiczne wyścigi z zegarkiem, i te częste przykre niedotrzymywanie kroku zegarkowi. Na wsi musimy zaniechać posługiwania się zegarkiem zupełnie, albo korzystamy z niego rzadko; tryb naszego życia będzie przebiegał bardziej spokojnie, pogodnie, bez pośpiechu.

Zapewniamy sobie więcej spokoju i wypoczynku umysłowego i fizycz-

nego, jeżeli na okres pobytu na wsi zrezygnujemy z gramofonu, patefonu lub głośnikowego radja..

Dzieciom nie powinno się zadawać żadnych lekcyj, za wyjątkiem tych nielicznych niemiłych wypadków, kiedy dziecko musi zdawać na jesieni jakieś egzaminy.

Dajemy dzieciom zupełną swobodę, niech bawią się, hałasują, swawolą, wtrącamy się do nich, poskramiamy ich wybujałą naturę jak najrzadziej, chyba tylko wtedy, jeżeli zachodzi wyraźnie konieczna potrzeba.

Ubranka dziecięce muszą być skromne, lekkie, przewiewne, zabawek dajemy dzieciom jak najmniej, niech duża liczba zabawek nie rozwija próżności, dumy u jednych dzieci, a poczucia zazdrości i żalu u innych, posiadających mniej zabawek.

Nie powinniśmy brać na wieś żadnych upiększeń i dekorować niemi dzieci jako to: bransoletki, pierścionki, korale, kolczyki i t. p. Dzieci to często gubią i niepotrzebnie z tego powodu długo nieraz lamentują, niepotrzebnie też zaszczepia się u dziewczynek próżność.

Z pewnemi naleciałościami wielko miejskiemi, z niemądremi skrupułami nie rozstajemy się i one w pewnej mierze pomniejszają cenne korzyści, jakie nam daje pobyt na wsi. Przykładów tych dręczących nas, a nieuzasadnionych skrupułów można przytoczyć bez liku, ale w braku miejsca poprzestanę na paru.



W toku najlepszej zabawy mamusia wywołuje swoją trójkę, prowadzi do mieszkania i tam pośpiesznie ją przebiera: nakłada się buciki, kapelusiki, dziewczynki dekoruje się bransoletkami, koralami, wstążeczkami, kokardkami. Idą spotykać ciocię, bo dziś przyjeżdża. Na stacji napewno będzie dużo ludzi, więc mamusia też przez kilka kwadransów ubiera się.

Wieczorem będzie kino dla dzieci. „Duszno tam będzie i ciasno, złe powietrze, wzrok nadweręża się. Zaprowadzić tam Tadzika i Zosię? chyba nie“ — rozumuje matka. Ale jednak poszła, bo koledzy Tadzika i koleżanki Zosi poszły, więc jakoś iść wypadało... Tamte panie mogłyby posądzić mamusię o skąpstwo Rozumowanie uzasadnione, logiczne



ustąpiło miejsca względom małostkowym, skrupułom niemądrym, nieuzasadnionym. Tadzik i Zosia idą, siedzą w dusznym ciasnym budynku dwie godziny, śmieją się sporo, ale w nocy źle śpią, bo ta stara wiedźma, widziana na ekranie przyśniła im się w nocy.

Na plaży jest rojno. Słońce ślicznie przygrzewa. Na piaszczystym brzegu rzeki wygrzewają się letnicy.

6-letnia Wandzia wygrzewa się też na słońcu, ale ma jakąś skwaszoną minę. Czy może jej co dolega? Nie. Kostjum kąpielowy ma mniej ładny, niż inne kostjumy przez nią na plaży oglądane. Stąd też nieszczególna mina. A więc dobroczynnie działa — nie powietrze, woda, i słońce, to rzecz drugorzędna, na pierwszy plan u Wandzi wysuwa się sprawa ładnego kostjumu kąpielowego. Czy to jest dopuszczalne?

Będąc tedy w lecie na wsi, musimy wyzbyć się wszelkich nieuzasadnionych skrupułów, krępujących nas więzów. Starajmy się jak najwięcej zbliżyć do natury, zachowajmy w codziennem naszem życiu jak najdalej idącą pod każdym względem prostotę. To nam umożliwi najbardziej celowe dla zdrowia naszych dzieci i nas samych korzystne spędzenie letnich miesięcy na wsi.



Dr. S. Średnicki

Kilka słów o czerwonce.

Jedną z częstszych chorób okresu letniego jest czerwonka. Jest to choroba wywoływana przez bakterje.

Zakażenie czerwonką następuje przez przewód pokarmowy. Źródłem zarazków są wypróżnienia chorego.

Jednym z głównych objawów czerwonki są częste, wolne, śluzowe stolce z dużą domieszką świeżej krwi. Od obecności krwi w stolcach pochodzi nazwa choroby — czerwonka.

Drobnoustroje trafiają do przewodu pokarmowego wraz z pożywieniem.

Normalnie ani owoce, ani jarzyny jako też inne produkty spożywcze nie zawierają na sobie bakterji chorobotwórczych.

W okresie letnim kiedy zjawiają się pierwsze przypadki czerwonki bakterje zostają w dużej ilości wydalane wraz z kałem chorych. Wówczas powstaje możliwość roznoszenia zarazków chorobotwórczych przez muchy i w ten sposób powstają nowe przypadki czerwonki.

Owoce, jarzyny, które rosnąc są obmywane przez deszcz, nagrzewane przez słońce, wolne są od zarazków chorobotwórczych. Dopiero z chwilą, gdy się dostaną do sprzedaży mogą posiadać na sobie zarazki.

Może być kilka sposobów przenoszenia bakterji.

Pierwszem źródłem mogą już być zakażone ręce zbierającego owoce, bądź też jarzyny, następnem ręce sprzedającego, a w końcu przygotowującego pożywienie.

Jest to jedna droga szerzenia czerwonki, a mogą ją szerzyć ci, którzy mają styczność z chorym.

Drugą drogą jest szerzenie się czerwonki przez muchy. Muchy, jak to już kiedyś pisałam, siadają raz na wydalinach chorego, raz na pożywieniu i w ten sposób roznoszą zarazki.

Za tem, że muchy są głównemi sprawczyniami powodującemi szerzenie tej epidemji przemawia fakt, że nasilenie epidemji występuje w miesiącach, kiedy jest najwięcej much.

Rzadką drogą jest szerzenie się epidemji zapomocą wody. Wobec tego ten sposób szerzenia pominę.

Zachodzi pytanie, co robić, aby zapobiec szerzeniu się czerwonki.

Jak już wiemy źródłem zarazków są wydaliny chorego, które należy poddać dezynfekcji celem zabicia zarazków.

Ze środków dezynfekcyjnych najczęściej stosowane są: mleko wa-

pienne (roztwór 20% niegaszonego wapna w wodzie), roztwór sublimatu, lysol, lub roztwór krezolu.

Bielizna chorego, zwłaszcza zawalana wypróżnieniami chorego, powinna być najpierw maczana w płynie odkażającym, a następnie prana i gotowana.

Chory nie powinien korzystać z ustępu.

W krótkich słowach podałam sposób unieszkodliwienia źródła infekcji.

Teraz przejdę do omówienia wskazówek, o których należy pomyśleć w okresie epidemji.

Jak już wyżej nadmieniłam tak owoce, jak i jarzyny mogą być zakażone czerwonką. — Nie należy przeto spożywać niemytych owoców, a nawet w okresie epidemji obmywać je należy, gorącą wodą. Nie psuje to w zupełności smaku owoców, a chroni przed zachorowaniem. — Pozatem pożywienie nie podlegające myciu należy chronić przed dostępem much.

Pilnować tak siebie jak i dzieci, aby przed każdym posiłkiem myły dokładnie ręce, gdyż i te mogą na sobie posiadać zarazki czerwonki.

Dr. Z. Glińska



DZIECI NERWOWE.

VI

Zagadnienia wychowawcze

Znalazłem kiedyś w jakiejś książce takie opowiadanie. Pani X szyje jakieś drobiazgi, rozmawiając z siedzącym obok gościem. Na podłodze, tuż przy niej mały czteroletni Kazio skrobie ołówkiem po kawałku papieru najdziwaczniejsze wykrętasy. W pewnym momencie papier zostaje całkowicie zarysowany i chłopczyk, w poszukiwaniu świeżego materjału, chwyta leżącą obok książkę i na jej okładce kontynuuje swą zabawę. Pani X. ruchem głowy zwraca mu uwagę, że czynić tego nie należy: „Odwróć, synku, papier na drugą stronę i rysuj na nim; książki szkoda, popsujesz ją“.

— Upływa kilka chwil; chłopiec istotnie uczynił tak, jak mu powiedziano, ale po pewnym czasie wraca do zabronionej zabawy. Matka pochłonięta rozmową kilka minut nie zwraca uwagi na dziecko.

W pewnym momencie spostrzega, co się dzieje: „Kaziu, na miłość Boską, przecież mamusia powiedziała ci

wyraźnie, że czynić tego nie należy; jeżeli zniszczysz książkę odbiorę ci ołówek".

I znów upływa pewien czas. Kazio bazgrze po papierze, ale znudziła mu się już doszczętnie zamazana kartka i ponownie, spojrzawszy szybko na matkę, chwyta książkę i gryzmoli na niej.

Pani X. wstaje, aby wyprowadzić gościa i znowu spostrzega syna nad książką z ołówkiem w ręku.

„No, proszę pana, niech pan spojrzy, widział pan kiedykolwiek takie niedobre, uparte dziecko; zawsze chce postawić na swojem!"

Czyż istotnie Kazio jest tak bardzo niedobrym i upartym chłopcem i czy nie Kaziowi, a raczej mamusi należałoby w danym przypadku powiedzieć kilka słów rzetelnej prawdy?

A teraz, np., taka scenka.

Matka wychowuje małą Krysię z tem niby założeniem, że dziecko powinno *rozumieć* wszystko to, czego się od niego żąda. Na werendzie siedzą dorośli, zajęci swobodną pogawędką. Trzyletnia Krysia wpada z ogrodu z bębnem przewieszonym przez ramię i wali weń z całej siły pałeczką. Mama uśmiecha się i czyni uprzejmą uwagę córeczce: „Weź swój bębenek i idź z nim dalej do ogrodu, tutaj przeszkadzasz nam rozmawiać".

Krysia trzęsie odmownie głową i bębni w dalszym ciągu. Na ponowną prośbę matki odpowiada zupełnie prosto: „Nie, ja chcę tu się bawić". Potem następuje długa przemowa mamy, jak to niedobrze ze strony Krysi, że nie chce usłuchać, jak to starsi nie mogą przy tym hałasie rozmawiać, jak to będzie dobrze, jeżeli Krysia — bo przecież ona jest dobrą i grzeczną dziewczynką — usłucha mamusi i pójdzie do ogrodu.

„Ale ja chcę bębnić tutaj".

I tak się dzieje istotnie i Krysia zostaje zwycięzcą, a potem dorośli opuszczają pole walki i przenoszą się do mieszkania, bo przecież jak zaznacza mama „Krysia jest jeszcze tak maleńka, że nie może zrozumieć tego, o co ją proszono".

Przytoczyłem dwie scenki, ażeby podkreślić to, co istotnie najbardziej rzuca się w oczy w stosunkach między rodzicami a dzieckiem i co najbardziej te stosunki utrudnia, wypaczając zasadniczą linję wychowawczą.

Tem czemś jest *nieposłuszeństwo.*

Czy Kazio jest istotnie tak bardzo niedobrem i upartem dzieckiem, że nie wysłuchał prośby matki. Czy niewykonanie życzenia rodziców przez Krzysię wynikało tylko z tego, że nie zrozumiała — jak sądzi jej mamusia — iż bębnieniem przeszkadza dorosłym.

A czem, proszę powiedzieć, zasłużył sobie na bicie po łapach jakiś, dajmy na to, półtoraroczny bobas, który usmarował całą buzię, rączki i sukienkę czekoladą, którą mu dała w podarunku ciocia lub babcia, a mamusia włożyła mu ją do rączki.

Do jednego z domów, w którym mam pod opieką od urodzenia czteroletniego chłopczyka, zostałem wezwany dla omówienia z rodzicami

pewnych spraw, związanych z wyjazdem na letnisko. Chłopiec zasadniczo bardzo nerwowy przyzwyczaił się do mnie i byliśmy z sobą w dość przyjacielskich stosukach.

Zdarzyło się tak, że wyjechał przed tą moją bytnością z dziadziem do Krakowa, skąd wrócił po 2 miesiącach. W Krakowie przeszedł jakąś grypę, w czasie której usunięto jego bonę, a wychowaniem zajęła się matka. Po dwuch miesiącach wrócił do Warszawy i właśnie w tym czasie zostałem doń wezwany.

Już pierwsze zetknięcie moje z dzieckiem pozwoliło zauważyć jakieś poważniejsze zmiany w jego usposobieniu. Badanie wymagało iście anielskiej cierpliwości i wywołało całą burzę w domu, sprzeczkę między dziadziem i córką, że to ona winna, że chłopiec stał się taki nieznośny i dziki, że lepiejby było nie usuwać wychowawczyni i nie oddawać syna w wychowawcze ręce matki.

Czy może dziadzio miał słuszność?

Nic tu nie pomogły moje perswasje: „przecież ja ci, Jureczku, nic nie zrobię; popatrzę na serduszko i brzuszek, obejrzę buzię i powiem, czy możesz jechać na wieś". Starałem się przytem badać go w sposób najbardziej delikatny i nie przyczyniający jakichkolwiek przykrości.

Niestety chłopiec płakał, trząsł się ze strachu, wyzywał. Jednem słowem — kompletne niepowodzenie... A trzecia moja bytność u niego po dziesięciu dniach (druga miała miejsce w 4 dni po pierwszej) była znowu małą przyjacielską zabawą w czasie której dziecko nawet samo otworzyło buzię i dało sobie w nią popatrzeć.

Te kilka obrazków nasuwa bardzo wiele refleksyj, tem poważniejszych, im z bardziej nerwowem dzieckiem mamy do czynienia.

Refleksje te dotyczą zagadnień wychowawczych i o nich powiemy sobie w następnych artykułach.

Dr. M. Gromski.



W brudzie mieszczą się zarazki chorób!

O pierwszym spacerze niemowlęcia.

Pierwszy spacer niemowlęcia na świeżem powietrzu to nie byle zdarzenie dla matki. Tyle się o tem zawczasu myśli i mówi, omawia się wszelkie szczegóły dotyczące ubranka, wózka, pogody, czasu i miejsca spaceru; czasami poprzedza spacer specjalna narada z lekarzem, nie mówiąc już o wskazówkach i radach udzielanych przez życzliwe i bardziej doświadczone matki i przyjaciółki.

Nie zamierzając bynajmniej pomniejszać znaczenia tej ważnej chwili, gdy w duszy matki zaczyna kiełkować walka pomiędzy nakazami higjeny niemowlęcej, zalecającej systematyczne wynoszenie dziecka na powietrze, a bojaźnią przed wyolbrzymionemi w wyobraźni niebezpieczeństwami „zaziębienia" — ze stanowiska lekarza musimy zauważyć, że sprawa pierwszego spaceru niemowlęcia przedstawia się względnie prosto i zwyczajnie.

Wszyscy wiemy, że wynoszenie niemowlęcia na powietrze jest koniecznością: jeżeli chcemy zapewnić jemu prawidłowy rozwój fizyczny i psychiczny, jeżeli chcemy uniknąć krzywicy i jej ciężkich następstw. Wynoszenie na powietrze powinno odbywać się niezależnie od pory roku i codziennie, za wyjątkiem chyba dni szczególnie dżdżystych, zimnych i wietrznych.

Pierwszy spacer oczywiście trzeba uzależnić od pory roku i pogody; należy już zawczasu poprzedzić go pewnem systematycznem przygotowaniem niemowlęcia. W lecie pierwszy spacer można odbyć wcześnie, naprz. w 2-ej połowie pierwszego lub w początku drugiego miesiąca życia, w zimnej porze roku nieco później, nawet w 2—3 miesiącu.

Przygotowanie do spaceru polega na tem, że wkrótce po urodzeniu się, należy dziecko przyzwyczajać stopniowo do zmian ciepłoty otaczającego powietrza. W tym celu, codziennie, po dokładnem przewietrzeniu sąsiedniego pokoju, przenosimy do niego niemowlę i w tym czasie wietrzymy pokój poprzedni. Następnie zaczynamy otwierać okna w pokoju w którym niemowlę przebywa stale, wreszcie wynosimy go na balkon i t. p. Codziennie należy na kilka minut i kilka razy dziennie pozostawiać dziecko nago bez żadnego przykrycia, aby mogło swobodnie poruszać rączkami i nóżkami. Tego rodzaju „ćwiczenia" i kąpiele powietrzne niemowlęta lubią i szybko się do nich przyzwyczajają.

Dla spaceru okrycie dziecka powinno być dostosowane do pogody, i pory roku, t. zn. ciepłe w zimie, lecz odwrotnie b. lekkie w czasie

upałów, nigdy zaś przesadnie ciepłe. Najlepiej kierować się zasadą, że dziecko nie powinno być pod nakryciem spocone.

Przy pierwszych spacerach nie trzeba umieszczać dziecka na słońcu, lecz w miejscu ukrytem od wiatru i kurzu. Nastawienie jednak w tym celu ceratowego daszka nad wózkiem jest szkodliwe, gdyż daszek taki tamuje dopływ powietrza, a nagrzewając się na słońcu, niemiłosiernie praży dziecko, prowadząc czasami do niebezpiecznego przegrzania.

Dla pierwszego spaceru wybieramy dzień suchy, bez wiatru, o umiarkowanej ciepłocie. W zimie może to być nawet parę stopni mrozu. Czas trwania pierwszego spaceru bywa krótki (15—30 minut) lecz wkrótce dochodzi do codziennego parogodzinnego przebywania niemowlęcia na powietrzu.

Znaczenie tych spacerów dla zdrowia i prawidłowego rozwoju niemowlęcia jest w równej mierze ważne jak i należyte jego odżywianie.

Dr. Jerzy Wiszniewski

WIATRY CHODZĄ PO POLU...

Wiatry chodzą po polu
i — dla niepoznaki —
szukając kąkolu,
sieją gęsto maki.

Patrzą się na słońce,
ostrożnie, zukosa,
a ono po mokrej łące
brodzi, bocian bosy.

Nie gniewa się na nie
i dba tylko, aby
mieć na swe złote śniadanie
zieleniutkie żaby.

Wiatry ziarnka sklęsłe
sieją w ziemię płową,
żeby było pstro, śmiesznie,
niebiesko i różowo.

A słońce przetrząsa
pęki zeschłych kłoci:
w jego uśmiechach i w pląsach
wiatrów — świat się złoci.

LECH PIWOWAR

Spacery z dzieckiem nerwowem.

Spacer z dzieckiem nie powinien odbywać się bezmyślnie. Z nerwowem dzieckiem tembardziej.

Przygnębiające wrażenie wywierają matki, bony i niańki, ciągnące za rękę opierającego się delikwenta, same zapatrzone gdzieś w przestrzeń albo zagadane z przyjaciółką.

Możliwe, że powietrza nałyka się dziecko właśnie tyle, ile trzeba, ale po spacerze bywa znużone i rozkapryszone.

W ogrodach jest już lepiej, dzieci łączą się w gromadki i bawią, opiekunki obsiadają ławki. Czasem są one zbyt obojętne i zbyt lekceważą zdrowie swych pupilów — czasem przesadne w obawie o zdrowie, grzeczność, wybór towarzyszy i zabawy. Zdrowe, normalne dziecko zniesie i jedno i drugie. Chodzi nam jednak o dziecko przeczulone, wątłe, psychicznie niezdrowe — o dziecko nerwowe.

Dziecko takie często nie lubi spacerów, boi się ulicy, nie chce bawić się z innemi dziećmi, jest nieuprzejme, nie znosi słońca, nie chce biegać, nie lubi drugiego śniadania, albo przeciwnie myśli i mówi tylko o tem śniadaniu, zarzuca natrętnemi, bezmyślnemi pytaniami, inne znowu milczy uparcie, popłakuje podczas spaceru i ciągle chce do domu. „Spacer z moją małą jest istną katorgą“ — mówiła jedna z matek. „W domu to jeszcze znośne, skarżyła się pewna bona, ale na spacerze nie mogę z niem wytrzymać“.

Normalny rozwój dziecka nerwowego jest zwykle silnie zachwiany. Nie chce się ono poddać normalnemu wychowaniu, sprawia swą osobą moc kłopotów i trudności. Jednak w odpowiednich do swego stanu psychicznego, warunkach, byłoby łatwiejsze. Wiemy o tem i musimy chociażby sztucznie stworzyć owe warunki.

Nieporozumienia dziecka nerwowego z otoczeniem wpływają ujemnie na jego charakter, sprzyjają kaprysom, płaczom, wybuchom złości. Uczucie i wola dziecka nie działają w jednym i tym samym kierunku, słabe zazwyczaj zdrowie, potęguje trudności wychowawcze — młoda matka jest zniechęcona i zmęczona. „Zawsze kaprysisz na spacerze“ mówi w rozdrażnieniu.

Spacer daje dużo wrażeń, nie tylko słuchowych i wzrokowych, ale często lękowych, podniecających, nużących wątły organizm. Dziecko chce jak najprędzej znaleźć się znowu w zaciszu domowem, zdala od zgiełku, barw, ludzi.

Jest zmęczone po każdym spacerze. Jak zapobiec temu? Jak zawsze najwięcej pomocną będzie dla nas dłuższa i objektywna obserwa-

cja. Musimy zauważyć co najwięcej nuży i denerwuje małego, gdzie leży przyczyna nieudanych spacerów.

Pewna mała dziewczynka chorobliwie bała się cyganów. Podczas spaceru jedyna myśl zaprzątała jej umysł, czy nie spotka czasem cyganki. Bała się zostać na chwilę sama, bała się większego tłumu, ale jednocześnie i pustej ulicy lub parku. Każda kobieta w chustce kolorowej wzbudzała w niej niesamowity lęk. Oczywiście spacery nie mogły iść na zdrowie. Matka zaś dopiero, gdy dziewczynka podrosła dowiedziała się całej prawdy.

Inna znowu była chorobliwie nieśmiała. Od rana trapiła ją myśl, że w parku trzeba będzie bawić się z obcemi dziećmi, wśród których stale czuła się na ostatniem miejscu.

Każda uwaga i drwiny bolały ją i wywoływały łzy. Witanie się z doroslymi. było jeszcze gorszą męką — najwięcej zaś bolał gniew matki, że jest niegrzeczna, inna niż dzieci i, że mamusi za nią wstyd.

Znowu pewien chłopczyk wątły i blady cierpiał na anemję dosyć silną. Doktór zalecał odżywianie, powietrze, ruch. Mały męczył się bieganiem, męczył słońcem, męczył hałaśliwemi zabawami. Nie chciał, jednak, być wyśmianym przez towarzyszy, brał zawsze udział w ich zabawach. Znużenie. wkrótce ogarniało całą jego istotę, skutkiem czego oczywiście, były łzy, kaprysy, zatargi z boną. Trwało to kilka lat, wyczerpywał się system nerwowy, spaczał się charakter. Dopiero dłuższa kuracja postawiła chłopca na nogi.

Bardzo wiele dzieci boi się panicznie gąsiennic, pająków, żuków, żab, psów, i t. p. stworzeń, których pełno w każdym ogrodzie spotkać może. A więc lęk, by nie zobaczyć, nie dotknąć, nie nastąpić na które z tych potworów, płacz, gdy rodzeństwo lub towarzysze straszą, że za kołnierz je wsadzą, płacz, gdy bona gniewa się za „histerję".

Nie należy lekceważyć tych strachów i przygnębień dziecięcych. Wypływają one z nadmiernej wrażliwości, niewspółmiernego reagowania na podniety zewnętrzne, z osłabienia i ogólnego złego samopoczucia. Przykładów podobnych wyżej wymienionych można cytować bez końca. Każda z młodych matek, posiadająca nerwowe dziecko wiecznie skrzywione podczas spacerów, powinna gruntownie zbadać przyczynę tego niezadowolenia. Trzeba dziecku pomóc w zwalczaniu wszelakich obaw, nieopanowanych lęków, humorów i kaprysów. Tłumaczyć, przekładać, dobrać łatwych i miłych towarzyszy, obserwować je w zabawie, uważać, by się nie zmęczyło na słońcu, nie zamęczać gderaniem i uwagami. Coś ciekawego podczas spaceru pokazać i opowiedzieć, pilnować celowości spacerów, przystosować się do zainteresowań dziecka. Niektórym dzieciom dobrze robi każdy wysiłek fizyczny i dłuższy spacer, innym znowu dłuższe odpoczynki, mniej wrażeń. Niektórym odpowiadać będzie jeden dłuższy

spacer, innym parę krótkich spacerów dziennie.

Serce matki, jej troskliwość, dbałość o system nerwowy dziecka, powinno podyktować, jak mają się odbywać spacery. Na zakończenie raz jeszcze podkreślę wielką, niezastąpioną rolę, jaką odegra w tych wypadkach obserwacja.

I. Mackiewiczówna.

Odpowiedzi na listy rodziców.

Pani Br. Krachowej, pani Ernie Brussowej, pani Poklewskiej - Koziełł, pani Rudowiczowej, pani Br. Starostkowej i pani H. Górnisiewiczowej odpowiedzi wysłaliśmy pocztą.

Ogród Jordanowski.

Dla wielu osób, które z Ogrodem Jordanowskim nie zetknęły się, nazwa ta nic nie mówi, nic w niej bowiem nie odmalowuje raju dziecięcego, jakim jest on w rzeczywistości.

Nie wiem jak wyglądają Ogrody Jordanowskie w innych miastach, znam tylko warszawski (przy ul. Bagatela Nr. 2), z całą stanowczością twierdzę, iż jest to jedyne miejsce na terenie Wielkiej Warszawy, gdzie dzieci czuć się mogą naprawdę dobrze. Nawet prywatne ogródki przy domach w nowych dzielnicach miasta, nie mogą zapewnić im tych udogodnień, jakie daje Ogród Jordanowski. O ogrodach publicznych w tem miejscu nawet i wspominać nie warto. Tylko smutna konieczność zmusza nas do wyprowadzania i wywożenia do nich dzieci.

W ogrodzie Jordanowskim już sam widok najmłodszej dzieciarni, hasającej po trawnikach cieszyć powinien oko matek. Zabawa, bowiem, w tych warunkach chroni malców od wdychania kurzu, jaki same wznoszą, bawiąc się na dróżkach czy placach ziemnych.

A ileż pozatem napotykamy urządzeń, przystosowanych do potrzeb wieku i rodzaju zabaw dziecięcych!

Zaznaczyć tutaj należy, iż ogródek udziela gościny dzieciom od wieku niemowlęcego do 14 roku życia.

Niemowlęta dla których nie ist-



nieje jeszcze zagadnienie zabawy ruchowej i sportu, mają specjalnie urządzony dla siebie pokój, gdzie mogą być nakarmione i przewinięte. Stanowi to dla matek wielką wygodę, zwłaszcza w czasie zimy, gdyż nie potrzebuję wracać z maleństwami do domu dla dokonania tych czynności.

Starsi malcy znajdą w ogródku ogromny basen napełniony czystym wiślanym piaskiem, gdzie mogą dowoli grzebać się w tym, chyba nigdy nie nudzącym się dzieciarni, materjale. Dla malców też, urządzony jest basen, którego dno powoli opada od brzegów ku środkowi. Basen ten w dni upalne napełniony zostaje wodą, aby bawiące się w ogrodzie dzieci mogły po niej brodzić, co jak wiemy stanowi dla nich wielką radość.

Dzieci od 3 do 7 lat mają przeznaczone dla siebie boisko z przyrządami przystosowanemi do ich wieku, a więc znajdują się tam huśtawki, przeplotnie, zjeżdżalnie i inne doskonałe urządzenia, pozwalające dziatwie na wyrabianie w czasie zabawy zręczności, sprężystości i ogólnego rozwoju sił fizycznych.

Najstarsze dzieci również znajdą dla siebie boisko do różnorodnych gier i rozmaite przyrządy..

Dla starszej dzieciarni prowadzone są działki które na własne żądanie, pod okiem wykwalifikowanych instruktorek uprawiają, pielęgnując na nich różne rośliny.

W zimie ogródek przystosowuje się do pory roku i zmienia swój wygląd. Pojawia się ślizgawka oraz tory saneczkowe o małych pochyłościach dla małych i większych dzieci.

Jak więc widać z powyższego, krótkiego opisu w urządzeniu ogródka nie zapomniano o żadnym okresie wieku dziecięcego. Każde dziecko, które na jego terenie przebywa, znajdzie dla siebie właśnie to, co mu w danym okresie rozwoju najlepiej odpowiada.

Dla dopełnienia obrazu Ogrodu Jordanowskiego wspomnieć jeszcze muszę o 3 dużych werandach które nawet w dni słotne umożliwiają dzieciom przebywanie na świeżem powietrzu, chroniąc je przed deszczem. Na jednej z werand w czasie ciepłych miesięcy urządzaną jest sala do śniadań, która w czasie zimy mieści się wewnątrz budynku w sali specjalnie na to przeznaczonej.

Ogród posiada doskonałe urządzenia higjeniczne: jak umywalnie, klozety i szatnię

Stała bezpłatna opieka lekarska, zapewnia bezpieczeństwo dzieciarni pod względem możności rozszerzenia się jakiejś infekcyjnej choroby. Dziecko wyglądające „niewyraźnie“ zostaje przez instruktorkę skierowane do lekarza, i stosownie do jego zalecenia, bądź pozostawione w ogrodzie — o ile stan jego nie budzi obaw, bądź odesłane do domu — gdy są jakiekolwiek podejrzenia.

Jak wyżej wspomniałam, do Ogrodu przyjmowane są dzieci od wieku niemowlęcego do 14 roku życia. Najmłodsze do lat 3, korzystając z ogrodu, muszą mieć zapewnioną opie-



kę z domu. Dzieci powyżej tego wieku mogą być pozostawiane choćby na cały dzień pod opieką instruktorek, które prowadzą gry zbiorowe. pracę na działkach, w zimie zaś ślizgawki i mają zawsze pieczę nad całą zgromadzoną dzieciarnią.

Dziwić się doprawdy należy, iż stosunkowo tak mała ilość rodziców wykorzystuje ogród dla swej dzieciarni. Nie może przecież odstraszać ich od niego niska opłata 3 zł. miesięcznie od rodzeństwa, bez względu na to czy w skład jego wchodzi 1, 2 czy 7 dzieci.

Z ogrodu może korzystać naraz do 600 dzieci, a tymczasem nawet połowa miejsc nie bywa wyzyskana, wyjąwszy 2 miesiące letnie (lipiec, sierpień) gdy ogród zostaje zamknięty dla matek z dziećmi, a oddany na wyłączny użytek półkolonij letnich.

Rzecz prosta, iż nie sposób korzystać z Ogrodu Jordanowskiego (niestety tylko jeden istnieje w Warszawie) mieszkając na drugim końcu miasta. Jednak rodzice, którzy mieszkają niezbyt daleko tego raju dziecięcego stanowczo powinni zapoznać się z nim i posyłać tam dzieci, zamieniając ich mało korzystne a często i nudne spacery po ulicach i publicznych parkach w prawdziwe źródło zdrowia i radości.

Wanda Meisner.

KSIĄŻKA A DZIECKO.

Snobizm czy współżycie.

W poprzednim numerze mówiliśmy o konieczności starannego doboru książki dla dzieci w wieku przedszkolnym. Postawiliśmy twierdzenie, że nie zawsze książka dobra jest książką dobrze dobraną. Dlatego też musimy znać i dziecko i książkę, którą dziecku dajemy, by móc ocenić czy wybór nasz jest słuszny i szczęśliwy. Ale jednocześnie pamiętać musimy, że dać dziecku dobrą, dobrze dobraną książkę — to jeszcze nie wszystko. Trzeba dziecko nauczyć współżycia z książką.

Czy dzieci lubią książki? naogół tak.

Nie spotkałam jeszcze dotąd dziecka, któreby nie chciało słuchać czytanej książki, nie chciało oglądać obrazków — słowem nie interesowało się książką. Przeciwnie! Obserwowałam wielokrotnie wypadki, gdy dzieci chciały, by im czytano każdą książkę, która im wpadła pod rękę.

Każda książka interesowała je, każdą książkę chciały poznać. Znałam dziecko, które chętnie słuchało czytania starszych, nie rozumiejąc więcej jak co piąte czy dziesiąte słowo.

Naogół wielokrotnie już stwierdzałam u dzieci w wieku przedszkolnym — głód książki — namiętną chęć słuchania słowa czytanego. Co się potem z tym głodem, z tą szlachetną namiętnością dzieje? Dlaczego te dzieci, kochające tak gorąco książki, wyrastają na ludzi, którzy całemi tygodniami i miesiącami, ba! całemi latami nie biorą książek do ręki?..

Gdzie będziemy szukać przyczyny tego zjawiska, tak często spotykanego.

Dziecku dajemy książki, czytamy mu je, ale nie uczymy dziecka z książką współżyć.

Im dziecko chętniej lubi czytanie — tem więcej daje mu się książek, tem więcej mu się czyta.

Dochodzi się pod tym względem do niesłychanych absurdów.

Są matki, które z odcieniem dumy w głosie mówią, że ich 5 letni synek czyta już „W pustyni i w puszczy“ Sienkiewicza. Znam 7-letniego chłopca, który czytał „Trylogję“ i „Grażynę“.

Matka mówiła o tem z dumą i przechwałką. Gdy spotkała się z krytycznem powątpiewaniem z mojej strony — wygłosiła zdanie bardzo charakterystyczne.

„Jurek tak lubi książki, jest przytem nad wiek rozwinięty — niech czyta — nie będę mu broniła.

Biedna, nad wiek rozwinięta istotko. Roślino sztucznie pędzona!

Dziecko nie może czytać książek dla dorosłych.

Czy dlatego, że ich nie zrozumie? Czy dlatego, że są zbyt trudne. Czy dlatego, że dowie się z nich o rzeczach, o których „nie powinno“ wiedzieć? Nie! nie dlatego!

Dziecko musi z książką współżyć — a z książką dla dorosłych dziecko współżyć nie potrafi.

Jak więc ma wyglądać to współżycie dziecka z książką?

Książka nie może się kończyć z chwilą przeczytania ostatniej strony. Nie możemy nigdy dziecku w wieku przedszkolnym powiedzieć tak: „Skończyliśmy już czytać tę książkę — odłożymy ją — będziemy czytać nową książkę!“

Książek dziecięcych nie chowa się do szafy, nie zamyka się na klucz. Z przeczytanemi książkami dziecko żyje dalej, przegląda je, zagląda do nich od czasu do czasu, czyta po raz drugi, trzeci, dziesiąty — w całości albo w urywkach.

„Mamo“ — poczytaj mi — mówi Jaś, który ma 6 lat.

Dobrze, przynieś mi taką książeczkę, którą już czytaliśmy dawniej a którą chciałbyś znowu przeczytać

„Lepiej przeczytajmy jakąś nową książkę“.

„Nowej książki nie mam teraz — może więc sam wybierzesz taką, którą najlepiej lubisz — z naszych starych książek“.

„Najlepiej lubię taką — która jest najśmieszniejsza. Żeby ciągle trzeba się było śmiać i śmiać“.

Istotnie Jaś ma wielkie poczucie humoru i lubi książki wesołe.

„A pamiętasz jakżeśmy się śmieli kiedy Szymek i Tymek jedli ser“.

„I potem chcieli zasnąć i chcieli, żeby im się sen sprawdził i potem jeszcze Szymek spiął agrafką swoje portczyny z majtkami Tymka. Doskonale! czytamy“.

Czytaliśmy „Hej z drogi“ J. Porazińskiej — po raz trzeci czy czwarty.

Po tem rozmawialiśmy dużo o tej książce i to nie raz, wiele razy.

Jaś często powracał do niej, chodząc po mieście i obserwując ludzi, którzy tak nieuważnie przechodzą przez jezdnię, przypominał sobie niektóre sceny z opowiadania Porazińskiej. Żyliśmy razem z tą książką. Potem w życiu Jasia nastąpiła wielka nowość — miał lat 7 — gdy przeczytano mu Robinsona Kruzoe.

Ta książka wypełniła jego myśli na długi okres czasu. I teraz jeszcze powraca do niej, przeżywa ją na swój sposób.

Czy ją lubi?

Nie chce jej czytać po raz wtóry. Początek to jeszcze tak, ale już koniec to nie. Nie lubi tego końca. Odkąd się zjawia w życiu Robinsona Piętaszek, nie chce czytać książki. Nie mogłam zrozumieć — dlaczego?

„Bo kiedy czytam o Piętaszku — to zaraz muszę myśleć, że tak umierał“.

„Umierał i uśmiechał się — dodał po chwili.

Śmierć Piętaszka zrobiła na nim zbyt silne wrażenie. Kiedyś wziął książkę do ręki i zaczął ją bardzo starannie oglądać.

Wszystkie obrazki znał już na pamięć, a teraz znowu zabrał się do oglądania. Zaproponował mi, że je pokoloruje.

Czy dziecko może kolorować książki? Czy to nie zmniejsza jego poszanowania dla książek? Czy to nie uczy dziecko lekceważyć książek, niszczy je? Czy może przeciwnie uczy z książką współżyć?

Na te pytania odpowiemy sobie w następnym numerze.

Wanda Pelczyńska.



Rozmowy na spacerze.

We żniwa.

Słońce pali teraz mocno i bywa bezlitosne, kiedy wysusza i wypala wszystko co rośnie.

Ale wiecie o tem, że teraz dopiero dojrzeją zboża. Najpierwsze żyto, niedawno jeszcze zielone zacznie żółknąć i bieleć. Słoma stanie się złotawa, a kłosy pochylą się lekko pod ciężarem dojrzałego ziarna. Zaraz potem dojrzeje ciemno-złota pszenica, a potem owies i jęczmień.

Lada dzień, lada dzień zaczną się żniwa. Czy naprawdę nigdy nie widzieliście, jak to jest na polach, kiedy przyjdą żniwa?

Och to musimy jakoś to zrobić, żeby dzieci mogły wszystko własnemi oczami zobaczyć. Bo opowiadać to za mało. Musimy być tam na polach złotych od zboża w lipcowym upale i zobaczyć jak w pocie czoła zbiera się ziarno na wasz chleb, na bułeczkę i na drobną kaszkę na mleku.

Jeżeli wyjechaliście na wakacje na wieś, to nie będzie trudna taka wycieczka, ale i wy, którzy przez całe lato nie opuścicie miasta pojedziecie ze mną na wycieczkę, na żniwa.

Nie potrzeba bardzo daleko wyjeżdżać, zawiezie nas tramwaj, albo kolej podmiejska, o jedną, dwie stacje. Wyjedziemy wcześnie rano i zanim słońce zacznie palić na dobre będziemy w polu.

Nasza droga wąska i zielona idzie

między zbożem. Z jednej strony owies trzęsie zielonkawemi kłoskami, z drugiej żyto już dojrzałe pochyla się ku drodze i chrzęści na wietrze pełnym, złocistym kłosem. W górze skowronki śpiewają rozgłośnie, do tej pory z małych gniazdek na ziemi we zbożu zdążyły wylecieć dorosłe pisklęta i teraz już może ze staremi śpiewają wysoko nad polem.

Dalej już urywa się ściana żyta i słychać głosy i dzwonienie ostrzonych kos. Właśnie to pole koszą żniwiarze, przysiądziemy sobie przy drodze i popatrzymy jak idzie robota.

Kosy trzeba poostrzyć długą, płaską „osełką“ i ruszają do pracy. Idzie dwuch kosiarzy, jeden w pewnym odstępie za drugim i wszyscy koszą z rozmachem miarowo. Każdy wycina przed sobą szeroką ścieżkę w dojrzałem zbożu. Kosa błyska, leci półkolem i ścina równiutko wysokie źdźbła. Za każdym kosiarzem idzie kobieta w barwistej chusteczce i fartuchu i zręcznie krzywym sierpem zbiera skoszone żyto w duże pęki. Dużą, równo ułożoną garść zostawia za sobą na ściernisku i idzie dalej, idzie i schyla się idzie, dalej niezmęczona, chociaż czujecie dobrze, jak mocno pali lipcowe słońce. A dalej idzie dwuch niedorosłych chłopców i związuje snopy skręconem ze słomy powrósłem. Każdy snop teraz pięknie wygląda: Wśrodku przewiązany ciasno, z jednej strony pyszni się gęstą czupryną kłosów. I teraz, nakoniec ci sami chłopcy zabierają się do ustawiania snopków w piękne kopki czyli mendle. Opierają dwa snopy o siebie, do nich przystawiają drugi i trzeci i dziesiąty i gotowa piękna, mocno postawiona kopka. Teraz postoi żyto parę dni w słońcu, aż wyschnie ziarno i wysuszy się słoma.

Pokażcie mi ten kłosek, który podnieśliście na ściernisku. Patrzcie, jak łatwo z suchych plewek wyłuskują się zielonawe ziarna żyta. Ale nie są one teraz twarde i suche, bo świeżo skoszone. Dopiero kiedy przyjdzie pora zwożenia snopków do stodół, posypią się z kłosów twarde i suche ziarnka.

Teraz pójdziemy jeszcze trochę dalej w pole. Wszędzie naokoło ruch i praca. Jedne pola już pokoszone, tylko widać uwijających się ludzi, którzy znoszą snopki i mendle stoją równym sznurem. Inne pole dopiero napoczęte, a inne pokoszone zastawione złotemi snopkami.

A tutaj widzicie, już zwożą snopy, widocznie żyto było wcześniej skoszone. Przez ściernisko jedzie wolno wóz w parę koni, do połowy naładowany snopkami, na obie strony chwieje się ciężko. Przy wozie kroczy chłopaczek wcale od was nie większy, trzyma mocno lejce i ogromny bat. Powozi parą koni i wielkim wozem „pojeżdża“ jak to mówią od jednej kopki do drugiej. Wóz staje i snopki nadziane na widły jeden za drugim lecą do góry. Ale ten człowiek na furze musi układać je równo na obie strony, bo inaczej przeważyłoby się łatwo na jeden bok

i zobaczylibyście całą historję, połowa snopków zostałaby na polu.

Jeszcze ze dwie kopki zabiorą i wóz pełny, wygląda jak wielka sterta, a przy niej konie wydają się takie małe. Teraz na sam wierzch wdrapuje się ten mały chłopczyk, to się wspaniale przejedzie na tym ogromnym, kołyszącym się wozie! Ale lejce dawno oddał ojcu, bo teraz powozić po wyboistej drodze nie tak łatwo.

Słońce przypieka coraz mocniej, a my idziemy sobie jeszcze kawałek między niepokoszone jeszcze zboża. Napotkaliśmy teraz pole jęczmienia, jeszcze zielony i zielonawe jeszcze długie jego wąsy. Po tych wąsach poznać go najłatwiej. I jeszcze zobaczyliśmy grykę; małe pólko całe białe od kwiatów i zapach idzie od niego silny. Pełno pszczół kręci się naokoło, aż huczy, zbierają masę słodkiego soku, z którego będzie wkrótce miód. Doszliśmy jeszcze do małego pagórka porosłego trawą i liljowemi dzwonkami, skąd widok się rozlega naokoło na pola.

Wszystko złoci się w polu i ścierniska i kopki i pola, niepokoszone pola. Praca idzie mocna, praca ciężka, ale słychać czasem pokrzykiwania i śmiechy dolatują razem z brzękiem ostrzonych kos. Prawda, że to tak wygląda, jakby jakieś święto było na polach?

Bo i święto naprawdę, kiedy rolnik zbiera plon, koło którego tyle się od wiosny napracował.

A potem zaraz wyjdą pługi w pole i poorzą głęboko wszystkie ścierniska; do końca pracy jeszcze daleko, tak jak daleko i do zimy.

Teraz już wracamy, czas jechać do miasta, a na drodze spotykamy bosą dziewczynkę, która w obu rękach niesie w glinianym garnczku obiad dla kosiarza.

Widzicie, że tu i dzieci pomagają we żniwa.

*J. Brzósko-Gudersk*a.



O opiece dziecka nad ptakami.

Kontakt dziecka z przyrodą oparty jest na bliskiem, bezpośredniem, wzajemnem odczuciu. — Każde stworzenie i każda niemal roślina jest dla dziecka żywą, rozumną osobowością, obdarzoną cechami ludzkiemi. — Jednak dziecko czuje jednocześnie swą przewagę fizyczną nad niektóremi stworzeniami, chce je podporządkować swej woli i niejednokrotnie nie cofa się nawet przed nieświadomem okrucieństwem.

To też nad stosunkiem dziecka do zwierząt powinien być roztoczony rozumny kierunek wychowawczy. — Chodzi o to, by nie oddalać dziecka od przyrody, przeciwnie, trzeba dążyć do tego, aby podświadome odczucie przekształciło się w istotne umiłowanie otaczającego świata.

W tym celu należy wskazywać dziecku widoki jego czworonożnych i skrzydlatych przyjaciół — i zachęcać do opieki nad bezbronnemi, biednemi stworzeniami. —

W zimie opowiedzmy dzieciom o szarych wróblach, daremnie, szukających pożywienia pod grubą warstwą śniegu — Zainteresujmy dzieci wogóle losem ptaków w zimie. Podsuńmy myśl zbierania okruchów i dawania ich ptakom — Niech dziecko pomyśli codziennie o tem, aby skrzętnie zebrać pozostałe kawałki niezjedzonego pieczywa, — aby następnie ten chleb i bulkę pokruszyć drobniutko i wsypać na balkon lub parapet okienny, gdzie skrzydlata rzesza zleci się gwarnie. A z chwilą, gdy dziecko zaczęło opiekować się ptaszkami, nauczmy, by czyniło to systematycznie przez całą zimę.

Obok znaczenia wychowawczego, karmienie ptaków ma jeszcze tę stronę dodatnią, że wypełnia dziecku część zimowego dnia, tak nieraz długiego i jednostajnego.

Znałam wypadki, że dzici zbierały na dworze zziębnięte ptaszęta, a potem w ciągu całej zimy trzymały je w mieszkaniu w klatce i opiekowały się niemi serdecznie.— Na wiosnę zaś zwracały wolność swym wychowańcom, których uratowały może od niechybnej głodowej śmierci

W ten sposób dzieci uczyły się myśleć o czemś żyjącem, co było powierzone wyłącznie ich pieczy, — przywiązywały się do swych ptaków i moment otworzenia klatki był chwilą prawdziwego rozstania.

Niewątpliwie dzieci te nigdy już w życiu nie potrafiłyby wyrządzić krzywdy ptakom, czy zwierzętom;— a tem samem rozwinęły i wzbogaciły swe uczucia humanitarne.—

J. Ilkowska

Jak ptaszki rozmawiały z Zosią.

Daleko na krańcach miasta stał mały domek z ogrodem. W domku tym mieszkała mała Zosia i braciszek Zosi, Jurek. Jurek ogromnie lubił zwierzęta i ptaszki i miał ich bardzo, bardzo dużo. Dla malutkiej Zosi była to radość niezmierna móc karmić ptaszki i pomagać Jurkowi. Zosia z całą stanowczością twierdziła, że ptaszki z nią rozmawiają: „Jureczku gołąbki wołają: gro-chu!, gro-chu! — Synogarlica chce znowu cukru i krzyczy: — cu-kru, cu-kru". — A na podwórku, co za radość! tu kurki czubate, tam kogutek pstrokaty, kaczuszki i gąski, a nawet indyk z czerwonemi koralami biega po śmietniku, — „Dziadziu jak ten indyk mówi?" — woła Zosia, dziadzio uśmiecha się i grubym głosem naśladuje indyka: —„Ja tu jestem króóól, królól, król; król". — „A ta biedna kokoszka, czy ciągle jeszcze nie ma chodaczka"? „A nie ma, mówi dziadzio". A jak ona mówi? „Jajka niosę, boso chodzę, dajcie proszę, choć chodak".

„Widzisz Jureczku, dziś znowu zaspałeś i twój kogucik rano ciebie budził". „A nieprawda" — zaperzył się Jurek „Babciu, prawda, że kogucik dziś wołał, kukuryku, wstawaj prędko mój chłopczyku?" — Upiera się Zosia. „Wołał moja kochana, tylko kogucik o tem nie wiedział". „A widzisz" triumfująco potwierdził Jurek. „Ale" ja też dobrze mówię, woła Zosia. „Tak, tak i ty masz rację i Jurek ma rację" — łagodzi spór babcia. Czasem Zosia bawi się ze swoim kotkiem, Zosia lubi bardzo tę zabawę, ale kotek tego nie lubi i mamusia też; bo Zosia ciągnie kotka za ogon. Wprawdzie Zosia twierdzi, że tylko wtedy kotek odpowiada na jej pytanie. „Masz ty panią"? a kotek odpowiada: „miau miau". Ale mamusia nie pozwala tak się bawić z kotkiem „nie męcz kotka" mówi mamusia. Ale najlepiej Zosia lubi wieczorem, w lecie, usiąść przy otwartem oknie razem z tatusiem i rozmawiać ze słowiczkiem. Co prawda to Zosia słucha jak słowik mówi, a sama siedzi cicho na kolanach tatusia, tuląc swoją złotą główkę do jego ramienia. Czasem tylko błękitne oczy szeroko otwiera, paluszek podnosi do góry i szepcze z przejęciem. „O znów tak woła: „Maciuś ciuś ciuś, choć tu, choć tu; a gdzie, gdzie, gdzie, och tu, tu; tu. Dlaczego on tak woła? Ale tatuś tylko się uśmiecha i cicho cichutko szepcze, słuchaj dalej jak on będzie śpiewał. A Zosia słucha, słucha, i wkońcu zasypia.

Marja Piskorska.

Przypominamy wszystkim naszym Sz. prenumeratorkom, że od dn. 1 lipca Redakcja i Administracja dwutygod. „Młoda Matka" mieści się przy ul. Koszykowej 44 m. 18, tel. 9-01-24.

Francuskie „Ligi Dobroci“.

„Ligę Dobroci“ stanowi grupa dzieci, zespolona ze sobą węzłami moralnemi. Pracę przygotowawczą spełnia tu nauczyciel — usiluje on budzić w wychowankach swoich cześć dla ideałów, poszanowanie dla przyjętych obowiązków, wstręt do kłamstwa. Następują potem ćwiczenia praktyczne. Dzieci obiecują wstawać rano bez ociągania, nie gniewać się, ani wymyślać, pomagać sobie wzajemnie i t.p. Każde dziecko, codziennie notuje w zeszycie, czy i o ile dotrzymało danego słowa. Nauczyciel kontroluje, udziela rad i wskazówek prostuje błędne mniemanie, częściej chwali aniżeli gani. Z biegiem czasu poleca dzieciom, by zawsze wieczorem zastanawiały się na chwilę nad dniem spędzonym i zapisały czyn, który w dniu tym uważają za najlepszy. Przy końcu tygodnia dzieci oddają nauczycielowi bezimienne ćwiczenia, w których opisują najlepszy czyn w tym czasie spełniony. Nauczyciel zaś wybiera jeden z pośród nich i na tle jego prowadzi lekcję. Po mniej więcej miesiącu podobnych ćwiczeń „Liga Dobroci“ zaczyna się organizować. Członkowie jej przyjmują na siebie następujące zobowiązania: 1. Spełnić codziennie dobry uczynek, 2. Być dobrym dla ludzi i zwierząt. 3. Nie kłamać, 4. Opiekować się słabym, pomagać nieszczęśliwym, 5. Być wdzięcznym względem rodziców, 6. Szanować starców i kaleki.

Członkowie „Ligi“ składają do przeznaczonej na to skrzynki, opisy dobrych uczynków każdego tygodnia, przegląda je w sobotę nauczyciel i wysnuwa z nich odpowiednie wnioski i uwagi. Pod wpływem pracy „Ligi“ w szkole wytwarza się nastrój, który możnaby nazwać „zarazą dobroci“, w atmosferze takiej praca staje się miłą, nawiązują się serdeczne stosunki między nauczycielem a dziećmi.

L. R.

Tabelki przeciętnych miar foremek bibułkowych

Dla dziewczynek:

	1	1-2	2-4	3-5	4-6	5-7	6-8	7-9	8-10	9-11	10-12	11-13	12-.4	13-15	15-17	15-17
	c e n t y m e t r ó w															
Obwód w piersiach	60	60	62	64	66	68	70	72	74	76	78	80	82	84	86	87
Obwód w talji . .	60	60	62	64	64	64	64	64	64	64	64	64	66	68	70	101
Długość	45	45	47	49	52	55	59	63	67	71	75	79	83	88	97	21

Dla chłopców:

	1-2	2-4	3-5	4-6	5-7	6-8	7-9	8-10	9-11	10-12	11-13	12-14	13-15	14-16	14-17
	c e n t y m e t r ó w														
Obwód w piersiach . .	60	62	64	66	68	70	72	74	76	78	80	82	84	86	88
Długość rękawa od wewnątrz	21	23	25	27	29	31	32	34	36	38	40	42	44	46	48
Długość nogawicy spodni od zewnątrz . . .	28	29	32	35	38	41	44	47	51	54	57	61		95	98



Hallo! Hallo!

Wiadomości radjowe.

Działo się to przed niespełna trzema tygodniami. Aeroplan „St. Direr“ wystartował 31 stycznia z Paryża do Madagaskaru poprzez pustynne obszary Sahary. Na przestrzeni pomiędzy stacjami In Salah (odległość od Algieru 1000 klm.) Taman Rasset zabłądził i był zmuszony wylądować z braku benzyny.

Aeroplan był naturalnie wyposażony w nadajnik i odbiornik radjowy. Oszczędzając resztki baterji i akumulatorów, dzielni lotnicy po uprzedniem zorjentowaniu się co do miejscowości nadają szereg sygnałów S. O. S., określając równocześnie w przybliżeniu miejsce wylądowania. Niestety, sygnały zostały odebrane tylko częściowo i oto trzy wojskowe płatowce pod dowództwem pułkownika Guillemin puszczają się na niebezpieczny i niepewny rekonesans, bezskuteczny, bo nie znaleźli zaginionych towarzyszy z kapitanem Reginensi na czele. I oto straszna tragedja: Reginensi widział przelatujące płatowce, jego właśnie szukające. Szedł w tej chwili w kierunku wskazanego na mapie strumyka. Nieszczęsny biegł i krzyczał jak szalony, wymachiwał odzieżą, wszystko naprożno. Patrol przeleciał i z nim wszelka nadzieja ratunku. Jakieś fatum ściga śmiałych lotników. Zboczyli z drogi nieznacznie. Od najbliższej oazy w pustyni, posiadającej hotel, urządzony z całym komfortem, dzieli ich wąskie pasmo górskie, zaledwie kilkadziesiąt kilometrów, ale wysokości 2000 metrów. Nie tracąc odwagi Reginensi zabiera 1 i pół litra wody i śmiało udaje się na poszukiwania, zalecając dwum towarzyszom swym nadawać sygnały radjowe. Ma według mapy do przebycia 30 kilometrów. Tymczasem sygnały skutkują. Jeden z nich zniekształcony coprawda podchwytują stacje lotnicze i w dniu 3 lutego znów dzielny Giullemin wyrusza na poszukiwanie. powiadamiając zaginionych o czynionych usiłowaniach w celu ich znalezienia i prosząc o potwierdzenie odbioru na fali 27 metrów z oznaczeniem miejscowości przymusowego wylądowania. jak również zachęcając do rozpalania ognia nocą i dawania sygnałów w czasie dnia. Depesze te zachęcały do wytrwania, obiecując rychłą pomoc. I rzeczywiście w dniu 7 lutego dzielna eskadra wysłana na poszukiwanie zaginionych odnalazła rozbitków w miejscowości odległej o 1300 klm. na południe od Algieru. Wiadomość ta natychmiast przedostała się drogą radjową do wszystkich stacyj francuskich, a już 11 lutego „St. Didier“ w otoczeniu eskadry poszukujęcej go wylądował na lotnisku w Algierze, mając na swym pokładzie uratowanych trzech lotników.

Przykazania wychowawcze:

Pogoda i uśmiech najlepszymi wychowawcami!

Bicie krzywdzi dziecko!

Dziecko odpłaca: miłością za miłość,
ufnością za ufność,
urazą i niechęcią
za złość i niesprawiedliwość!

Wybieraj!